

ANIOŁ STROŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Chłopiec i muszka.

Skrzydło po skrzydle, nóżkę po nóżce
Niedobry chłopiec obrywał muszce.
Widząc to matka, rzekła: Mój synu,
Złego się bardzo dopuszczasz czynu.
Czyż ty masz serce, czy masz sumienie,
Męczyć tak srodze biedne stworzenie?
A syn odrzecz: — O! ona przecie
Bezużytecznie żyje na świecie.
A człowiek nieraz zabiera życie
Takim, co niosą korzyść...

— O dziecie!

Człowiek zabija zwierzęta, ptaszki,
Lecz ich nie męczy tak dla igraszki.
Dla swej obrony i pożywienia
Bóg mu pozwala i głos sumienia;
Lecz kto umyślnie na dziką psotę
Trapi i męczy żywą istotę,
Patrząc na ból jej, jak głaz bez serca,
Czy wiesz, kto on jest?... on jest morderca!

Helena Bojarska.



Widzenie Kaleda.

Legenda arabska.

Pewien podróżny nazwiskiem Kaled zaskoczony został na morzu przez straszną burzę. Wkrótce wiatr zerwał żagle, maszty połamał i przekonano się, że nie już nie zdoła uratować okrętu, wpędzonego na skały. Wobec niechybnego rozbicia, majtkowie próbowali wpływ dostać się do brzegu, widniejącego w dali. Skoczył i Kaled w spienione fale, ale pochwycony nagle wirami podwodnym, ogłuszony, stracił przytomność. Gdy się ocknął, zobaczył się leżącym na piasku morską wybrzeża. Burza już ucichła — balwany, które tak gwałtownie niedawno się miotaly, ledwie wzdymaly teraz modrą powierzchnią wód, ale nie dojrzał nigdzie śladu okrętu, ani nawet jego szczątków. Otchłań wszystko pochłonięła i nikt prócz Kaleda nie ocalał; lecz ledwie uszedł niebezpieczeństwa, zagrażała mu znowu śmierć straszniejsza jeszcze od tej, którą zginęli jego towarzysze. Sam jeden, bezbronny, nagi (bo odzież zrzucił był z siebie na okręcie, aby nie zawadzała mu w pływaniu), cóż miał począć w tym kraju nieznanym, może niezaludnionym wcale, a może zamieszkanym przez ludożerców.

Wtem, gdy tak rozpaczliwie dumał nad swym położeniem, dojrzał w oddaleniu tłum jakiś, idący w jego stronę. Przyczajony za odlamkiem skały, patrzył, jak zbliżali się ku niemu ludzie, ale nie byli to dzicy. Pięknie mieli ubrania, lśniąca broń, postępowali w porządku — w pośrodku nieśli bogate nosze. Najbardziej zadziwiło Kaleda to, że kroczyli wprost ku niemu, jak gdyby wiedzieli, w jakim miejscu się chroni nieszczęśliwy rozbitek. Wreszcie znaleźli się o kilka kroków tylko od niego. Wówczas wystąpił naprzód jeden z orszaku, niosąc pyszne szaty, a na nich złocioną szablę, jaśniejącą oprawą z drogich kamieni i

przyklekając na jedno kolano przed zdumionym Kaledem, rzekł:

— Wodzu nasz, racz przybrać się w oznaki swej godności i pozwolić, aby cię niewolnicy twoi zanieśli do stolicy, gdzie ciebie wygląda lud wierny, do pałacu, gdzie dwór oczekuje swego pana.

Nim Kaled zebrał się na odpowiedź, już złociste ręce niewolników przyoblekły go w szaty wspaniałe i ujrzał się siedzącym w złocistym palakinie (nosze, używane w Chinach i innych krajach do przenoszenia ludzi bogatych), wzniesionym wysoko po nad kornie chylące się w około głowy. Przed bramą miasta stały uszykowane pułki wojska i wśród oznak radości ludu wprowadzono Kaleda do pałacu. Tam ministrowie, wszyscy dostojnicy i urzędnicy państwa kolejno ofiarowali mu swe służby, oprowadzając go po gmachu, w którym znalazł wszystko, o czym tylko mógł kiedy zamarzyć.

Zrazu niedowierzający jeszcze swej własnej potędze, Kaled nie śmiał próbować rozkazywać, ale gdy się przekonał, że istotnie jest władcą owego kraju, że najmniejsza jego zachcianka jest prawem i że bez żadnego ograniczenia wszyscy ulegają każdemu jego skinieniu, zaczął rządzić, w niczem się już nie kępując. Nikt mu nie przeczył, choć wódz we wszystkim własnej tylko szukał przyjemności i zabawy, a poważniejsze sprawy odkładał zawsze na czas późniejszy. Żaden z panów nie przekładał mu, że wypadaloby młodemu wodzowi zasięgnąć rady starszych i doświadczonych, poznać gruntownie stan swego kraju i potrzeby podwładnych. Kaled zaś był przekonany, że mądrością i znajomością wszech rzeczy nikt mu dorównać nie może i że sztuka panowania ogranicza się na tem, aby jemu samemu było dobrze.

Po kilku miesiącach takich rządów, a raczej takiego używania, gdy raz w dzień słotny nie chciało mu się ani polować, ani z tarasu pałacowego przypatrywać się obrotom dzielnych swych jeźdźców, ani uczyć wyprawiać, słowem, gdy się nudził i czas leżący dotąd z szybkością, błyskawicy jakoś mu się dłużył, zastanowił się po raz pierwszy nad dziwną swych losów koleją i jasne pasmo jego myśl zachmurzyła nagle zagadką, której (sam się teraz dziwił) od wyniesienia swego nigdy ani razu nie był wziął na uwagę, umysł wciąż mając zaprzątnięty czem innem. Klasnął więc w dłoń i przybiegającemu niewolnikowi kazał pójść zawołać starszego wezyra. Po chwili już się stawił starzec siwobrody, pokornie chyląc przed swym panem poważną swą postać, łafami zgarbioną.

— Powiedz mi — zagadnął Kaled — jakim sposobem się to stało, że w chwili, kiedy przypadkowe zdarzenie, burza, wyrzuciła mnie na wasz łód, wyście mnie już oczekiwali i przyszli spotykać? Zkądżeście wiedzieć mogli o mojem

przybyciu? Dla czego znalazłem wówczas właśnie tron ten opróżniony?

— Panie — odpowiedział wezyr — taki już u nas porządek rzeczy, że w pewnych odstępach czasu, mniej więcej co rok, powstaje wielka burza i morze wyrzuca nam tego, który ma być naszym wodzem. Gdy więc wicher zwiastuje nam, że chwila ta nadeszła, idziemy go nad brzeg powitać.

— A cóż się dzieje z tym, który był wprzód? — zapytał wódz zaniepokojony nagle.

— Mamy prawo odwieczne, że przed nowym władcą dawny ustąpić musi, więc wówczas wsadzamy wodza do łódki z tem co miał na sobie, kiedy do nas przybył, to jest z niczem, bo nagego zawsze fala do łądu przynosi, i odwozimy go na skalistą i odludną wysepkę, tak oddaloną, że wcale jej ztąd dojrzeć nie można. Tam poprzednik wasz, porzucony sam jeden, wielką teraz nędzę znosić musi...

— Dla czego nie ostrzeżono go o tem zawczasu?

— I owszem, ja sam mu zapowiedziałem co go czeka.

— A czy nie mógł przygotować sobie czego na tej wyspie? — badał dalej Kaled ze wzrastającym niepokojem.

— Nic mu ku temu nie stało na zawadzie, bo rządził tutaj wszechwładnie, tak jak wy dzisiaj. Mógł tam przewieźć jakie tylko chciał zapasy i skarby, mógł pałac budować, ogrody zakładać i wyspę tę w rozkoszną zamienić siedzibę, ale...

— Ale? — powtórzył zaciekawiony Kaled.

— Ale wyseпка pozostała dotąd pustą i nagą, bo żaden z panujących nie chciał wierzyć, że wkrótce dla niego wybije ostatnia godzina tych rządów, i zawsze łudził się, że na dalekie jakieś tam przygotowania będzie miał aż nadto czasu.

— To chyba moi wszyscy poprzednicy byli pozbawieni rozumu! — zawołał Kaled, ruszając ramionami. — Jakże inaczej wytłumaczyć sobie taką lekkomyślność, takie zaślepienie!

— I ty to ich sądzisz? — odpowiedział wezyr głosem, którego potężne brzmienie tak przeraziło Kaleda, że zadrżał cały, i zdało mu się, że mury pałacu się nad nim chwieją. Spojrzał na starca i osłupiał, widząc zdumiewającą zmianę w obliczu pokornego dotąd sługi. Wyprostował się nagle, odmłodniał, twarz jego nieziemską zajaśniała pięknnością — z oczu strzelił płomień jasny a groźny.

— Nazywasz ich szaleńcami, — mówił dalej, — a ty czyż nie postępujesz tak samo, ty który w krótkim życiu ziemskim myślisz tylko o dzisiejszej chwili, o dobrach znikomych i przemijających, a nigdy się nie troszczysz o zabezpieczenie swego losu na tamtym świecie?

I rozplątała się w mgle świetlanej anielska

postać, zniknął pałac królewski! Kaled ocknął z długiego snu gorączkowego; ujrzał się nagim na morskiem wybrzeżu, ale zdążył dostrzec wieżę pobliskiego miasta. Powlókł się tam krokiem osłabionym, a przed oczyma stały mu wciąż obrazy cudownego widzenia.



Pierwszy wypadek z prochem.

Działo się to przeszło pięćset lat temu w mieście niemieckiem Fryburgu. Do celi zakonnika, Bartolda Szwarca, wszedł braciszek zakonny, z oznajmieniem, że ksiądz przeor wzywa go do siebie.

— Idę — odpowiedział — tylko spale ten popiół i umyję ręce, bo posmoliłem je węglem, sypiąc go razem z saletrą i siarką do mózdzierza. A ty to po co? — zawołał na kota, odpędzając go chustką, lecz ciekawe stworzenie wsadziło różowy nosek do mózdziera. — Gotów mi poprzewracać wszystko — to mówiąc, stary zakonnik przykrył mózdzierz kamieniem, a podarłszy papier, wrzucił do kominka, na którym palił się ogień.

— Pilnuj roboty — żartobliwie powiedział do kota i wyszedł na korytarz klasztorny.

Ale nie doszedł jeszcze do mieszkania księdza przeora, gdy straszny huk dał się słyszeć w jego własnej celi, drzwi od niej zatrzęsły się w zawiasach, a przez okienko buchnął cuchnący dym.

— W Imię Ojca i Syna! — zawołał przerażony braciszek — to ten kot szkaradny, jemu zawsze źle z oczu patrzyło, czułem ja, że to nic dobrego, ale wy, ojcie Bartoldzie, wierzyć takim rzeczom nie chcecie.

Tak mruczał braciszek zakonny, ale jakież było jego zdziwienie, gdy wszedłszy do celi, zastał biednego kota rozciągniętego i bez życia, a obok niego leżał kamień, położony przedtem na mózdzierzu. W celi panował okropny nieład, mózdzierz potoczył się aż pod ścianę, z półek pospadały książki, a olej z wywróconej lampki ciekł po podłodze.

Bartold podniósł kota.

— Widzisz, biedak nie żyje, on nie nie winien, żal mi go bardzo. Ale to dziw, jakim spo-

sobem stać się to mogło i gdzie się podziały z mózdzierza węgiel, saletra i siarka? —

Mówił to, oglądając starannie mózdzierz, na dnie którego nie było nic, prócz kawałka niedopalonego papieru.

Cela napelniła się tymczasem zakonnikami, którzy pytali z przerażeniem, co mogło być powodem huku i dymu.

Bartold odpowiedział braciom, że właśnie przygotował mieszaninę z siarki, węgla i saletry, kiedy stał się wypadek, którego sam nie rozumiał.

— Papier palący się mógł wprawdzie wpaść z komina do mózdzierza, bo kamień nie przykrywał dobrze otworu, ale jakim sposobem zniknęła moja mieszanina i kto odwalił kamień, co z takim hukiem zabił kota?

Nagle jakaś myśl mu błysnęła.

Wziął ze stołu trochę pozostałej mieszaniny, zawinął w papier ją i wrzucił w ogień.

— A to co znowu — zawołał przerażony braciszek, bo w kominie huknęło i dym rozszedł się na nowo.

— Zburzimy teraz stary mur klasztorny — zawołał z radością Bartold Szwarz — moja mieszanina siarki, węgla i saletry zrobi to bez pomocy kilofa i motyki.

I tak się też stało. Na podwórku klasztornym wznosiły się mury starej baszty, która była siedliskiem szczurów i nietoperzy; dawno chciało ją zwalić, ale praca była uciążliwa, więc odkładano ją na później.

Usmolony węglem brat Bartold ukruszył kawałek kamienia w starym budynku i podłożył pod niego pudełko napelnione swoim proszkiem.

Całe zgromadzenie przyglądało się ciekawie doświadczeniu, przesądny braciszek napróżno spluwaniem odpędzał złego ducha, proch został wynaleziony, stara baszta klasztorna runęła z okropnym hukiem i trzaskiem.

W taki to sposób odkrył proch Bartold Szwarz we Fryburgu, zakonnik franciszkański, żyjący na początku piętnastego wieku.

Pierwszą ciarą nowego wynalasku był kot, ale od tego czasu iluż nieszczęść stał się ten wynalazek sprawcą! Nie zapominajmy jednak, że proch, który na wojnach uśmierca miliony ludzi, użyty dobrze przebija drogi przez nieskruszone ręką ludzką skały, że broni słabego od przemocy złoceńcy, że na koniec dopomaga czło-
wiekowi do wytopienia dzikich, drapieżnych zwierząt.



Kulawy i ślepy.

Niósł ślepy kulawego, dobrze im się działo;
Ale że to ślepemu nieznosno się zdało,
Iż musiał zawsze słuchać, co kulawy prawi,
Wziął kij w rękę; ten, rzecze, z szwanku nas
[wybawi.

Idą, a wtem kulawy krzyknie: umykaj w lewo!
Ślepy wprost; i choć z kijem, uderzył łbem w
[drzewo.

Idąc dalej, kulawy przestrzega od wody:
Ślepy w bród; sakwy zmaczał, nie wyszli bez
[szkody.

Nakoniec przestrzeżony, gdy nie mijają dołu,
I śleby i kulawy zginęli pospołu.
I ten winien, co kijem bezpieczeństwo mierzył,
I ten, co bezpieczeństwo głupiemu powierzył.

Ignacy Krasiński.



ŁAMIGŁÓWKI.

I.

Zagadka.

Jestem zawsze z bliźniąt rodu,
Nikt nie strzeże mnie za młodu,
Lecz gdy starość mnie zniweczy,
Wtenczas każdy ma mnie w pieczy,
I w ramki oprawi,
I za szkło postawi.

II

Zagadka.

Śpiewam radośnie
W nadchodzącej wiosnie,
Że aż często serce rośnie.
Lecz wspank przewróć, w tej godzinie,
Mieszkam w wiśni lub malinie.

III

Szara da.

Pierwsze — zwierz dziki z strasznymi rogami,
Drugie — choć swojski, drapie pazurami,
Wszystko razem wtenczas będzie,
Gdy się na wóz wsiądzie.

Za dobre rozwiązanie powyższych łamigłówek
przeznaczamy 3 nagrody. Los rozstrzygnie komu
nagrody przypadną.



Rozwiązanie łamigłówek z nr. 34.

I

Szara da.

Sto — do — ly.

II

Zagadka.

Żak, Rak, Lak, Tak.

III.

Zagadka.

Babka.

Dobre rozwiązanie wszystkich łamigłówek z
numeru 34 „Anioła Stróża“ nadesłali: Joanna
Beyer z Starogardu, Teodor Ceynowa z Karliko-
wa, Augustyna Jagalska z Sławoszyna, Helena
Kruczyńska z Czerska, Jan Warrass z Tyłowa,
Kazimierz, Edward i Alfred Kujaciński z Wój-
nowa. — Wszyscy otrzymali nagrody.



Od Redakcyi.

Ponieważ w ostatnim czasie skąpo nadcho-
dziły rozwiązania łamigłówek, przeto naumyślnie
wyznaczyliśmy w ostatnim numerze „Anioła Stró-
ża“ małą nagrodę dla tych dziattek, które nadesła-
ły dobre rozwiązanie, aby się przekonać, czy czasem
wśród dziatwy polskiej duch już zupełnie nie
uśpiony. — Co prawda, cokolwiek drogo opłaci-
liśmy naszą ciekawość, boć rozwiązania posypały
się dość licznie, z których naturalnie mogliśmy
uwzględnić tylko odpowiadające stawionym przez
nas warunkom. Słowo się rzekło, — trzeba więc
było i nagrody wysłać, chociaż i nam elementa-
rze opłacać trzeba. — Nie żałujemy atoli tego
wydatku, przeciwnie cieszy nas bardzo zapal
dziatwy i postaramy się na przyszły kwartał o
dostateczny zapas pięknych książeczek i obrazków,
abyśmy nagrody za rozwiązanie łamigłówek w
każdym numerze wyznaczać mogli.

